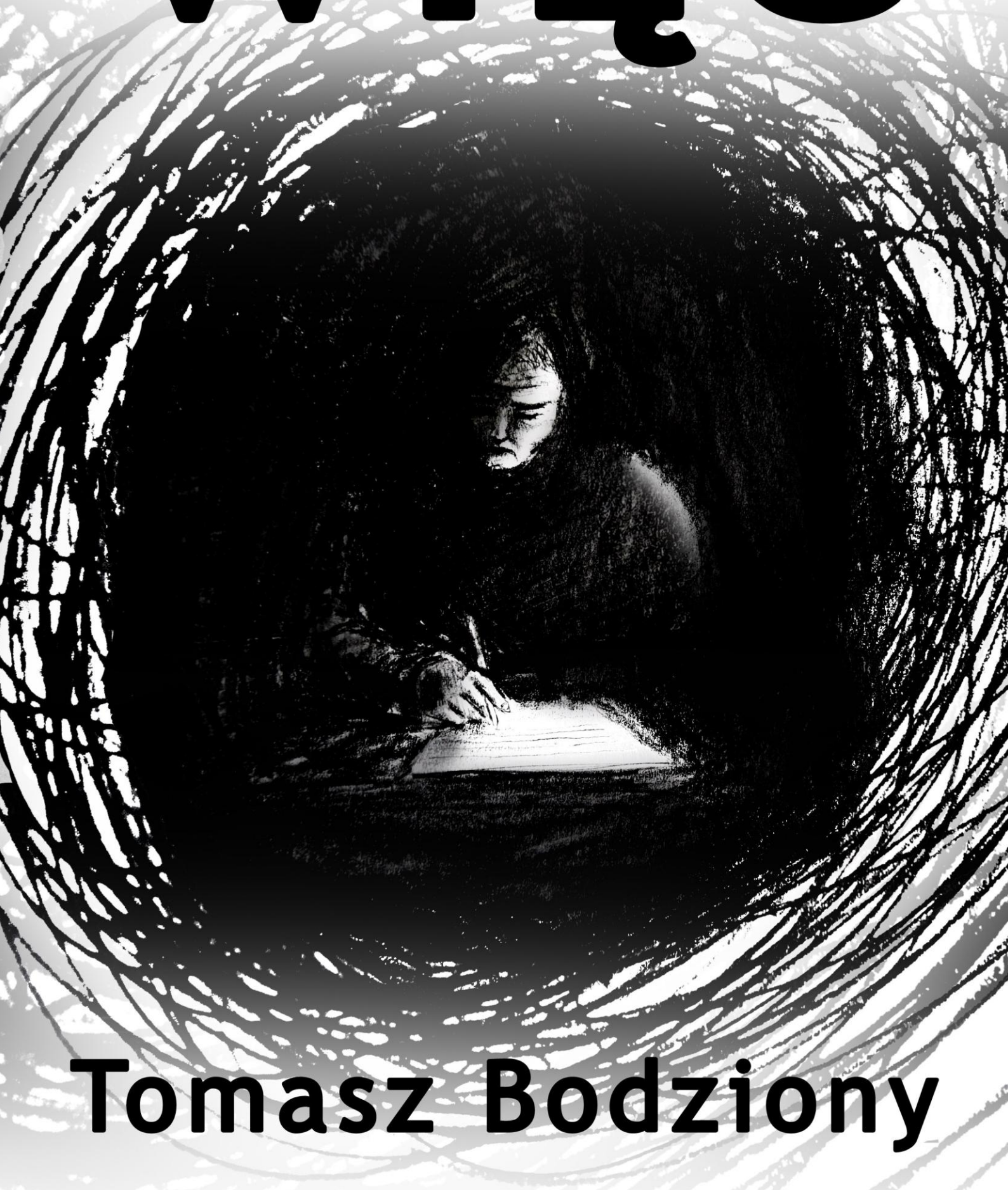


WIĘC



Tomasz Bodziony

© Copyright by Tomasz Bodziony & e-bookowo 2010
Grafika i projekt okładki: Anna Pietraszek
ISBN 978-83-61184-95-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2010

[Kup książkę](#)

Tomasz Bodziony

WIĘC

PRZEDMOWA

Myślę, że przed lekturą tej książki winien jestem krótkie wyjaśnienie. Najpierw, jak powstała ta książka. Otóż znalazłem ją na półce w przedziale kolejowym. Wracalem do Szczecina pociągiem z Przemyśla. Przed miastem zacząłem szykować się do wyjścia i wtedy powstał problem torby. Była to plastikowa reklamówka, dość zniszczona, z urwanym jednym uchem. Początkowo wprowadziła mnie w zakłopotanie: za chwilę pociąg stanie, trzeba wychodzić a tu torba, cudza torba, z którą nie wiadomo, co zrobić. Byłem sam w przedziale. O znalezieniu właściciela mowy nie było. Mogłem oddać torbę konduktorowi, ale kiedy, przełamując początkowe opory, ściągnąłem cudzą reklamówkę z półki, spostrzegłem, że nie ma w niej nic poza pospolitą, papierową teczką, jakich używa się w biurach do przechowywania rozmaitych pism i akt. Otworzyłem teczkę, ale ku swemu rozczarowaniu nie znalazłem w niej żadnych formularzy, faktur czy innych pism, które pozwoliłyby zidentyfikować właściciela teczek. W teczce znajdował się jedynie dość gruby plik kartek zapisany gęsto na maszynie. Przejrzałem je pośpiesznie, ale nigdzie na kartkach, ani na teczce, nie dostrzegłem nazwiska osoby, która była ich właścicielem. Zorientowałem się, że jest to list, list do kogoś, do jakiegoś przyjaciela. Ale i jego nazwiska, ani adresu, nigdzie nie udało mi się odnaleźć. Przyznaję – nie zgłosiłem konduktorowi o znalezisku, co powinienem był zrobić, lecz zabrałem teczkę do domu. Pociąg był już spóźniony a ja miałem umówione spotkanie. Bałem się, że nie zdążę. Konduktora nigdzie nie było widać w pobliżu. Ich zawsze nie ma, gdy są potrzebni. Poza tym miałem nadzieję, że w domu przejrzę dokładnie maszynopis i uda mi się odnaleźć nazwisko oraz imię autora i jego adres. Wtedy bym mu odesłał teczkę pocztą. Niestety, niczego takiego nie znalazłem.

Kim jest autor tego maszynopisu? Ponieważ maszynopis ten ma formę listu, będę go nazywał listem, aby uniknąć nieporozumień. Musiał jechać przez jakiś

czas w tym samym przedziale. Kłopot polega na tym, że począwszy od Tarnowa pociąg jechał zatłoczony. Wszystkie miejsca w przedziale były zajęte, aż do samego Poznania. Jedni wysiadali, drudzy wsiadali. Przez dwanaście godzin bezustanny kołowrót. Żaden z pasażerów nie utkwiał mi w pamięci, żadnego nie podejrzewałbym o autorstwo tego listu. Później starałem się sporządzić przypuszczalny rysopis jego autora na podstawie wzmianek znajdujących się w tekście. Skąpych, lecz pozwalających na wysunięcie pewnych wniosków. Autor zadbał o to, aby nie było to łatwe. Nie podał nawet swojego imienia. W jednym miejscu przez zapomnienie napisał swoje imię, ale później zamazał je tuszem. Nie dość dokładnie. Wydaje mi się, że pierwsza litera jego imienia to M lub... W. Marcin? Michał? Marek? Wojciech? Wiesław? Nie mam pojęcia. Jak można wnioskować z tekstu, autor jest mężczyzną w wieku około trzydziestu kilku lat. Wiadomo, że urodził się w Szczecinie. W Krakowie studiował. Pracuje jako nauczyciel, gdzieś na wschodzie kraju, jak sam napisał – w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Bełżca. To wszystko, co można o nim powiedzieć; to jest to, co sam o sobie napisał. Można przypuszczać, że jechał do Szczecina w sprawach rodzinnych. Ale i to nie jest pewne. Mógł przecież jechać i do innej stacji, np. Poznania. Nic pewnego o nim powiedzieć nie sposób. W każdym razie był w tym pociągu. Jednak ja nie przypominam sobie mężczyzny w tym wieku, w pociągu relacji Przemyśl – Szczecin. Jednego zapamiętałem, ale było to małżeństwo. Jechał z żoną i kilkuletnią córeczką. Nie mógł to być autor, który bez wątplenia jest osobą samotną. Jest jeszcze inna możliwość. Część drogi przespałem. Snem niespokojnym, z częstymi przebudzeniami, lecz jednakże spałem. W tym czasie nieznany autor listu mógł znaleźć się w przedziale. Jeśliby tak właśnie było, to nic dziwnego, że nie kojarzę z nim żadnej osoby. Spałem, a w przedziale było ciemno. Jest jeszcze dodatkowy powód. List ten przeczytałem dopiero w kilka miesięcy później. Nie miałem czasu, poza tym, przy pierwszej próbie, zraziłem się do tego listu, o co bardzo łatwo. Zaraz wieczorem tego samego dnia zacząłem czytać i... odłożyłem go na półkę. Każdy, kto zada sobie trud przeczytania tej książki, zrozumie moje uczucia. Gdy po kilku miesiącach zacząłem przypominać sobie, kto jechał ze mną w przedziale, wyniki nie mogły być rewelacyjne. Autor tego listu pozostanie na zawsze nieznany. Ale też on tego właśnie chciał. Jest jeszcze inna możliwość, której rozpatrzenia nie można uniknąć. Mianowicie, że autorem tego listu może być ktoś inny: kobieta, młody chłopak, czy

starszy mężczyzna. Ktokolwiek. Zgodnie z tym tokiem rozumowania ten list to jedynie literacka fikcja, wytwór czyjejś, chorej wyobraźni. Przyznaję: nie da się wykluczyć, że ktoś zgubił w pociągu maszynopis powieści. Ja tak nie uważam. Jest to moje osobiste przekonanie, na potwierdzenie którego nie mam żadnych dowodów. Ten list wydaje mi się za bardzo prawdziwy, aby mógł być czystą, literacką fikcją.

Kto by nie był autorem, czy są to autentyczne wspomnienia kogoś, kto zapisał je pod wpływem napływu fali wspomnień, czy też jest to fikcja literacka, powstaje inny problem. Czy książka ta nadaje się do publikacji? Osobiście miałem co do tego bardzo poważne wątpliwości. A to ze względu na pewne drastyczne epizody, które mogą przecież ranić czyjaś moralność, czy uczucia religijne. Autor jest niezwykle szczery; niektóre przeżycia, jakie opisane są na tych stronach, jak się wydaje, wykraczają daleko poza zwyczajne granice normalności. Od razu należy zastrzec, że nie są to opisy natury seksualnej, czy perwersyjno – seksualnej. Ta książka nie ma charakteru pornograficznego, i daleko jej do tego. Mimo tego wyzuwa się, że niektóre fragmenty zostały napisane celowo po to, aby rozjątrzyć czytelnika, dotknąć go, nawet obrazić. Czego autor specjalnie nie kryje. Zapewne miał na myśli adresata listu, ale mogą one urazić i postronnego czytelnika. Pewnych jego uwag trudno nie uznać za świadomie bluźniercze. Co więcej, czasami trudno jest nie wątpić w zdrowe zmysły autora tego listu. Wspominałem już, że po pierwszej próbie porzuciłem go na kilka miesięcy. W końcu przeczytałem i uznałem, że list ten wart jest, ażeby zaprezentować go szerszemu ogółowi czytelników. Od razu trzeba uprzedzić, że nie jest to lektura dla wszystkich. Nie jest to książka łatwa czy przyjemna. Uważam jednak, że ważne jest, aby każdy miał możliwość oceny tej książki i jej autora. Tu bowiem te dwie sprawy: autor listu i sam list splatają się w trudną do rozdzielenia całość. Długo się wahałem, ale podjąłem decyzję o publikacji. Pomimo licznych zastrzeżeń, moim zdaniem, nieznany autor zdobył sobie prawo do tego niezwykłą szczerością i cierpieniem, jakie przebija przez karty jego listu. Z tego samego powodu nie uznałem za celowe cenzurowanie listu przez skreślanie zdań czy akapitów, które wydawały mi się trudne do przyjęcia. Zostawiam to do decyzji czytelników.

Tytuł pochodzi ode mnie. W maszynopisie brak jest strony tytułowej. Zastanawiałem się dość długo nad tym, jaki tytuł nadać i nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Wypróbowałem różne warianty jak: „List do przyjaciela”, „Zagubiony list”, „Pamiętnik znaleziony w pociągu”, czy „Z zimną krwią”. Żaden mi nie pasował. Być może ktoś inny wymyśliłby coś lepszego, lecz ja nie byłem w stanie. W końcu postanowiłem za tytuł wziąć pierwsze słowo tego listu. To wyjście wydało mi się najprostsze i najlepsze.

Jeszcze słowo o moim udziale, skromnym, acz nie bez znaczenia. Zaczął się on od przypadku, jakim było prawdopodobnie znalezienie maszynopisu, zakończył się ciężką pracą nad przygotowaniem tekstu gotowego do druku. Był to maszynopis, ale maszynopis z gęsto naniesionymi poprawkami, napisanymi trudno czytelnym pismem. Kilkakrotnie musiałem skapitulować, wobec niemożności odczytania tekstu. W tych miejscach wstawiłem słowa, które wydawały mi się najbardziej pasujące do kontekstu. Maszynopis z licznymi skreśleniami i uzupełnieniami z całkiem innych stron, których numeracja, na domiar złego, często była mylna. Kosztowało mnie to dużo czasu, wysiłku i cierpliwości, ale uporałem się z tym zadaniem, według mojej oceny, zadowalająco.

T. B.

Szczecin, 1996

I

Więc powiadasz mój przyjacielu – mam nadzieję, że nie obrazi cię to miano, jakim, nie bez obaw, ośmielam się Ciebie nazywać – więc powiadasz, że dobrze Ci tam, u Was, na Zachodzie. Wynika to jasno z Twoich listów. Jeden z nich leży otwarty przede mną na stole. Jest to bodaj ostatni list, jaki otrzymałem od Ciebie; nosi datę lipca ubiegłego roku. Ponad pół roku temu. Przyznaję, powinienem był Ci wcześniej odpowiedzieć. Pamiętam jak się zdziwiłem, gdy odebrałem Twój ostatni list. Bogiem a prawdą zdażyłem całkiem o Tobie zapomnieć mój ty stary, i nowy zarazem, ale dobry przyjacielu od serca. Korespondencja jak kwiat – szybko więdnie. Wyjechałeś do Niemiec pięć czy sześć lat temu. Z początku pisałeś jeden list na miesiąc, aż za często; stosunki między nami nigdy nie były na tyle serdeczne, żeby wytłumaczyć, aż tak obfitą korespondencję. Od dawna już nie ulegam złudzeniom, przynajmniej staram się tego nie robić; dlatego też przypuszczam, że był to raczej skutek poczucia osamotnienia i nudy, zrozumiałej w obcym kraju, niż sympatii, jaką nagle wzbudziła w Tobie moja skromna osoba; sympatii dodam, jakiej nigdy dotychczas nie dałeś mi poznać, mimo iż znamy się od tylu lat. Potem, naturalną rzeczy kolejną, Twoje listy przychodziły coraz rzadziej: raz na kwartał, raz na pół roku; wreszcie, gdy przez ponad rok nie otrzymałem odpowiedzi na list, który do Ciebie wysłałem – zwątpilem. Pomyślałem, że oto przyszedł kres naszej nieoczekiwanej, korespondencyjnej przyjaźni i, wyznam szczerze, odechnąłem z ulgą. Dzielilo nas tak wiele: odległość, przeszłość, teraźniejszość, pochodzenie, majątek... Niemalże wszystko. Prawdę mówiąc nawet wtedy, gdy codziennie spotykaliśmy się na podwórku, gdy razem chodziliśmy do tej samej szkoły podstawowej, a później do tego samego liceum, trudno było mówić o przyjaźni między nami. Była to raczej znajomość, zabarwiona, być może, szczyptą sympatii, przynajmniej z mojej strony, ale w gruncie rzeczy chłodna i odległa. W porównaniu do moich stosunków z innymi, było to niemal gorące uczucie, lecz jedynie

przy tym, przyznasz, dość specyficznym punkcie odniesienia. Biorąc to pod uwagę, dziwnym wydaje mi się nie to, że nasza korespondencja zamiera, lecz to, że w ogóle zaistniała, i że trwała tak długo. Siebie mogę zrozumieć, chociaż nie zawsze, ale Ciebie jest mi trudniej. Miałeś wielu znacznie bliższych i lepszych kolegów niż ja, dlatego muszę zadać Ci pytanie i to teraz, gdy jeszcze jest na to czas. Co skłoniło Ciebie do pisania właśnie do mnie, bez żadnego znaku zachęty z mojej strony? Czy kierowała Tobą litość czy sympatia, ciekawość czy odraza, perwersyjny altruizm czy ukryta kpina i podstęp? Wątpliwość ta, której nie potrafiłem rozstrzygnąć, nadawała pewien smaczek naszej korespondencji, która poza tym, podobnie jak cała nasza znajomość, skupiając się na tematach obojętnych, a starannie omijając te bardziej drażliwe, była, przyznasz, wymuszona i dość przykra. Przynajmniej dla mnie. Omalże szczęki sobie nie wyłamałem ziewając, kiedy czytałem w Twoich listach niekończące się opisy: a to nowego samochodu, mebli na raty, nowego rewelacyjnego kompletu garnków, czy wakacji w Hiszpanii albo komputera, czy co tam akurat kupowaliście. Co mnie to u licha obchodzi? – myślałem i ziewałem szeroko, aż się rozległo. Jeśli mi odpiszesz, w co wątpię, jeżeli nasza korespondencja nie umrze naturalną śmiercią, co, jak się wydaje, jest jej przeznaczone, to proszę: oszczędź mi więcej tego rodzaju opowieści, jako..., jako zbyt... abstrakcyjnych dla ludzi w mojej sytuacji.

A może wydaje Ci się, że wolno Ci pisać do mnie wszystko, cokolwiek Ci na myśl przyjdzie? Że ja i tak muszę tego wysłuchiwać i jeszcze być Ci wdzięcznym za łaskawe zainteresowanie? Bo jeśli Ty się do mnie nie odezwiesz, to nikt inny tego nie zrobi? Że, krótko mówiąc, jestem na Twojej łasce? Nie sądzisz chyba, że takie prawo, że taką władzę nade mną zyskałeś ze względu na tamtą, starą historię z liceum, na to, co się wydarzyło z Dorotą Z.? Wydaje Ci się, że zapłaciłeś za to, jak za towar w sklepie, Twoim postępowaniem wobec mnie po tamtych... wypadkach? Nie powiem: Twe zachowanie było wielce szlachetne, tolerancyjne, litościwe, jakby wprost wyjęte ze szkolnej czytanki. Zapewne sądzisz, że winien Ci jestem dozgonną wdzięczność za to Twoje zachowanie, pamiętasz, w trzeciej klasie liceum i później także, i wobec tego możesz odnosić się do mnie tak, jak Ci się żywnie podoba? Wszak Ty jeden w całej szkole nie odwróciłeś się ode mnie, nie potępiłeś, nie oplułeś, po tym, co się wydarzyło, choć przecież miałeś do tego pełne prawo. Tylko ty,

no i jeszcze Janek Niezgoda i Piotrek Pyć. Ty i Janek Niezgoda pomagaliście mi w nauce. Gdyby nie Wy, nie ukończyłbym szkoły. Nikt więcej. Powinienem być Wam wdzięczny, prawda? Wyznam szczerze: nie jestem. Nie byłem wtedy. I nie będę, aż do śmierci. Bowiem, mój Ty kochany, drogi przyjacielu, to nie Wy, lecz wtenczas to tamci, to reszta, to cała szkoła miała rację. Zdarzyło się to, co się zdarzyło, fakty są jasne i oczywiste, są zeznania licznych świadków, są przestępcy, którzy sami się przyznali, jest wreszcie ofiara – Dorota Z. Nie potrzeba niczego więcej. Tak rzeczywiście było. Czemu zatem podchodziłeś do mnie i rozmawiałeś, jak gdyby nic się nie stało, łamiąc znowu milczenie, jaka mnie otoczyła i narażając się na potępienie jako ten, który się wyłamuje? Odwaga, z jaką potrafiłeś sprzeciwić się wyrokowi ogółu, wzbudzała wtenczas we mnie nie tyle sympatię – nie łudź się, co do tego, bo nienawidziłem Cię bodaj mocniej niż resztę moich kolegów – ile w najlepszym razie coś na kształt szacunku, szacunku, który zachowałem... aż do otrzymania Twojego ostatniego listu. Tak właśnie było. Znienawidziłem Ciebie i tamtych dwóch – dobrotliwych, szczerze i gorąco. Albowiem nie postępowałeś tak jak reszta, byłeś inny, odmienny, a więc – niepewny. Może to tylko podstęp, który ma mnie skłonić do popełnienia błędu, a gdy się odsłonię, uderzysz celniej i boleśniej od innych. A może to zwyczajna, upokarzająca litość czy wstrętna ciekawość. Były i inne powody. Przełamując mur, który mnie otaczał, niszczyłeś jednocześnie moje ostatnie w miarę bezpieczne schronienie, przez co bojkot, który mnie dotknął, i słusznie, stawał się jeszcze trudniejszy i cięższy do zniesienia. Obnażałeś mnie. Wasze, Twoje słowa były boleśniesz niż tamtych milczenie. Byłeś gorszy niż oni i o wiele niebezpieczniejszy. Tamci nie mogli mi nic zrobić; znajdowałem się poza ich zasięgiem; tam gdzie oni nigdy nie dotrą, ale gdzie Ty znajdowałeś drogę. Po spotkaniu z Tobą, Piotrkim Pyciem, czy Jankiem Niezgoda byłem jak nagi i długo trwało zanim znów się uzbroiłem. Poza tym – co najważniejsze – to oni mieli rację. A nie Wy. Jeżeli kiedykolwiek słusznie zastosowano takie środki, jeśli kogoś sprawiedliwie prześladowano, to właśnie mnie, wtedy, w naszej szkole, w trzeciej i czwartej klasie liceum. Wy zaś nie pozwalaliście mi zapomnieć o tym, co zrobiłem, i tego jeszcze, że sam jestem sobie winien. I że to, co mnie spotyka, jest słuszne i sprawiedliwe. Uczyniłem, com uczynił. Jestem winny. Nie ma dla mnie żadnych okoliczności łagodzących. Gdzie zaś jest wina, tam musi być i kara. Po stokroć wolałbym, żeby nikt nie podchodził do mnie i nie zagadywał. Mój Boże! Jakże

wtenczas pragnąłem, żeby ktoś do mnie się odezwał, podszedł, zwyczajnie jak człowieka i zagadał o pogodzie, muzyce, dziewczynach, szkole, obojętnie, o czym, żeby widział we mnie człowieka, a nie przeze mnie oglądał lamperie na ścianie. Nie zrozumie tego nikt, kto nie przeżył tego, co ja – całkowitego, absolutnego bojkotu orzeczonego i bezwzględnie przeprowadzonego przez całą szkołę, przez wszystkich uczniów, i nauczycieli również, bo i oni ulegli powszechnemu prawu. Nieraz przez cały dzień nie otwierałem ust; na mój widok moi szanowni koledzy i koleżanki albo milkli, albo uśmiechali się dziwnie, albo czynili szydercze uwagi, nie do mnie, broń Boże, ale jakby przeze mnie, jak gdybym był powietrzem, przez które ze śmiechem obrzucali się śnieżkami. Wspomnienie z tamtych dni: idę korytarzem, środkiem żywiołu, jest duża pauza, dookoła przewalają się fale dziewcząt i chłopców, moich rówieśników, którzy rozmawiają, śmieją się, jedzą śniadanie, krzyczą, szarpia, kopią, gonią (to ci z młodszych klas), jak to zwykle na przerwie, a ja przechodzę przez ten tłum niczym okręt przez wzburzone morze. Dookoła mnie tworzy się pustka i cisza i spokój, wszyscy skwapliwie usuwają się na boki ustępując mi miejsca, jak gdyby samo zbliżenie się do mnie zarażało trądem czy inną, równie paskudną i odrażającą chorobą.

Zauważyłeś, że wreszcie otwarcie się przyznaję, czego nigdy do tej pory nie czynilem? Ani nie muszę, ani nie chcę dłużej tego ukrywać. Mówię głośno i wyraźnie. Tak. Tak. Tak! Zrobiłem to, o co mnie oskarżano. Zrobiłem więcej nawet niż Wam się wydaje. Ale Ty o tym, już wtedy, dobrze wiedziałeś. Podobnie jak wszyscy. Nic nie można mi było udowodnić; wyszedłem z sądu czysty jak łąza, ale i tak nikt nie uwierzył w moją niewinność. I nie wybaczył. Jeśliby, zatem uznać, iż Twoi koledzy słusznie mnie bojkutowali, to jak miałem oceniać postępowanie Twoje, Piotrka Pycia, czy Jasia Niezgody, którzyście, jako jedyni – z rzadka, od czasu do czasu, ale jednak – zachowywali się wobec mnie w miarę przyzwoicie? Widzisz więc, że musiałem znienawidzić i Ciebie, i Piotra Pycia – „sławnego” artystę, i Jasia Niezgodę. Każdym swoim słowem, każdym gestem, którym zwracaliście się do mnie uświadamialiście mi na nowo, iż otacza mnie lodowaty mur wrogości – o czym tak wytrwale usiłowałem zapomnieć – i że mur ten wzniesiono słusznie, gdyż sam sobie na to zasłużyłem. Nie do każdego i nie w każdych okolicznościach, należy spieszyć z pomocą. Czasami lepiej się zastanowić czy warto? Są sytuacje, w

których taka pomoc przynosi więcej złego niż dobrego. I tak było wtedy. Poprzyśiągłem Wam w duchu zemstę, gdy nadejdzie odpowiedni czas. A ja jestem cierpliwy i umiem czekać.

Ale Tobie, przypuszczam, chodziło o coś innego. Podejrzewałem to od samego początku naszej korespondencji. Na potwierdzenie tej hipotezy znalazłem liczne dowody w Twych listach, szczególnie w Twym ostatnim liście. Tobie wydaje się, żeś lepszy ode mnie. Tłumaczyłoby to, dlaczego zacząłeś pisać do mnie. Listy te, moim zdaniem, miały jedynie utwierdzić Cię w Twym dobrym samopoczuciu; potwierdzić Twą wartość, podbudować Twoje ego nadszarpnięte pozycją biednego, durnego Polaka w bogatych Niemczech. Przyszywanego i, po prawdzie, niechcianego, ubogiego krewnego. Zawszeć to milej mieć pod ręką kogoś gorszego, biedniejszego, głupszego i podlejszego, a zwłaszcza kogoś takiego jak ja. Człowiek od razu lepiej się czuje. Ja do tego celu nadaję się doskonale. Jako środek na wymioty. Jak rycyna na przeczyszczenie. W miarę jak Twa pozycja się umacniała; jak obrastałaś w dostatki; jak coraz mocniej czułeś się Niemcem, Twe pragnienie samo potwierdzenia malało i stąd listy przychodziły coraz rzadziej. Na koniec uznałeś, że dalszy kontakt jest Ci już niepotrzebny; może nawet, że korespondencja ze mną jest dla Ciebie czymś uwłaczającym – co, jak sędzę, Twoja żona kładła Ci do głowy od dawna – i wysłałeś Swój ostatni list. Nie należysz do ludzi, którzy otwarcie mówią, co im leży na sercu. Uważam, bowiem, że Twój ostatni list jest celową próbą. Powiedziałbym: prowokacją. Powrócę jeszcze do tego później.

Tak. Masz rację. Przyznaję z ręką na sercu. Jesteś lepszy. Obecnie jesteś już Niemcem pełną gębą, a ja brudnym, ciemnym, durnym Polaczkiem. Brzydko to brzmi, ale taka jest prawda, czyż nie? Übermesch i polska świnia. Jak śmiałym Ci zaprzeczyć!? Jesteś przecież znacznie zamożniejszy ode mnie, ale Ty nie pieniądze masz na myśli. Tobie na pewno chodzi o Tve człowieczeństwo, o Twoje postępowanie, o Twą wyższość moralną! I tu również masz rację, po stokroć masz rację. Co to za parszywa kanalia – powiedział kiedyś o mnie pewien nasz wspólny znajomy. Było to na przyjęciu, na które, co ważne, zostałem zaproszony, bywam bowiem czasami i tam, gdzie mnie nie proszą, a ten wobec wszystkich, nie krępując się moją obecnością, rąbie swoje. Przypuszczał, że mnie obrazi, a ja się wcale nie obrażam. Takie rzeczy dawno przestały mnie obrażać. Kiedy kurwie w oczy pluja,

to mówi, że deszcz pada –dodał tamten widząc, że nie reaguję. Był podpity i uparty. Łatwo się nie zrażał. Wtedy wbiłem mu w twarz szklankę. Miałem jeszcze ideały. Zrobiłem to dla jego dobra, żeby widząc mój odrażający przykład nie stracił całkiem wiary w człowieka. Można powiedzieć, że się poświęciłem. Czego oczywiście tamten ani nie zrozumiał, ani nie docenił; wrzeszczał wniebogłosy, a z twarzy leciała mu krew, jak z zarzynanego wieprza. Poza tym oko udało się ocalić. Nie czułem się dotknięty. Bo czy prawda może obrażać? Dobrze powiedział, jak należy, soczyście a prawdziwie; klnę się na Boga, że nic nie przesadził. A raczej kłąłbym się na Boga, gdybym tylko w niego wierzył, chociażby odrobinę. Każdy w końcu zna sam siebie najlepiej i tym samym najtrafniej zdolny jest sam siebie ocenić. Ktokolwiek mówi o mnie, co najgorszego, chętnie potwierdzam, ba, nawet więcej dokładam. Nie mam nic do ukrycia. Dziś przyznaję się do wszystkiego. Jaki jestem, każdy widzi. Co innego Ty: pożyteczny, szanowany członek swojego społeczeństwa, oszczędny, pracowity, akuratny; którego nie obciążają żadne posadzenia ani mroczne historie z przeszłości, na stanowisku, niewysokim, co prawda, ale z możliwością awansu; który ma żonę, dzieci, dobry samochód i jeździ na wakacje na wyspy Kanaryjskie. Wszystko, oczywiście, tylko i wyłącznie dzięki ciężkiej, wytrwałej pracy. Słowem: prawdziwie porządny, przyzwoity człowiek.

Kto by pomyślał, że zostaniesz Niemcem? Znam Cię od szczyła, co nosił koszulę w zębach, razem bawiliśmy się na podwórku w tej samej piaskownicy; znałem dobrze Twoich rodziców i rodzeństwo; przez długie lata mieszkaliśmy po sąsiedzku i nigdy, w ciągu tych długich lat, nie słyszałem o Twoim – czy Waszym, bo dotyczy się to całej Waszej rodziny – obcym pochodzeniu. Ty nawet po niemiecku ani be, ani me, a języka zaczęłaś się uczyć dopiero na studiach. Toteż mocno się zdziwiłem słysząc, iż Twoja babka – czy też dziadek czy inna prababka – okazała się być Niemką, zaś Ty na tej podstawie nie mieszkając ciupasem pędzisz do Niemiec: z żoną, dziećmi, z tobołami i ogłaszasz wszem i wobec, żeś jest Niemcem rodowodowym. Zdarzało się, nie przeczę, że ukrywano swą narodowość; z wiadomych względów tyczyło to zwłaszcza Niemców. Ale jeśli chodzi o Ciebie, to nie chwalać się takim Niemcem, jak Ty, ja również mógłbym zostać. Poszukałbym starannie wśród przodków. A jeśliby tam nic się nie znalazło – i jeżeli starczyłoby bezczelności, to ważne –wystarczyłoby pójść na targ i kupić dokumenty rodowodowe, fał-

szywe, co prawda, ale równie dobre – przypuszczam – jak te, na podstawie których Ty otrzymałeś Twoje nowe, lepsze obywatelstwo. Nie wypominam. Trudno Ci brać za złe; z ciemnego, brudnego, biednego i głupiego Polaka awansowałeś na Niemca: zamożnego, pewnego siebie Europejczyka, postępowego, światłego, tolerancyjnego, wielbiciela demokracji, obywatela świata, a nie tego stęchłego, zapyziałego zaścianka. Po prostu – człowieka! Jak tu wierzyć ludziom, którzy mówią, że nie ma cudów na tym świecie? Albowiem cudem wydaje mi się nie tyle Twoja przemiana – wielu i lepszych od Ciebie, przed Tobą i po Tobie jej zaznało – lecz to, żeś zdołał zachować przy tym taki spokój, pogodę ducha, takie... dobre samopoczucie i szacunek dla samego siebie. Choć nie jestem purystą w kwestii moralności, i daleko mi do tego – przyznasz, to mnie przynajmniej by zemdliło, zaś Tobie – nic. Przeciwnie. Z Twoich listów wynika, iż ostatnimi czasy Twoje samozadowolenie i dobre mniemanie o sobie ogromnie wzrosło. Jeżeli więcej jest takich Europejczyków jak Ty?... – tylko pogratulować.

Powiesz, że się czepiam, że jestem złośliwy i niesprawiedliwy. I będziesz miał rację. Twój ostatni list uraził mnie. Aż przyjemnie się zdziwiłem. Myślałem, że to już przeszłość, że nic nie jest w stanie mnie dotknąć, że nic już mnie nie zaboli, a tu isierka bólu: drobna, słaba, migotliwa ale... prawdziwa. Powinienem być Ci wdzięczny. Za nic innego, właśnie za to. Dołączyłeś nawet zdjęcie: Ty i Twoja żona uśmiechnięci obejmujecie się, jest jeszcze dwoje Twoich dzieci, w tle ośnieżone szczyty Alp, no i Twój nowy samochód. Rzecz nie w treści Twego listu, lecz w błędach ortograficznych, które się w nim znajdują. Z początku nie skojarzyłem; coś mi się nie podobało w Twoim liście, lecz nie wiedziałem, co. Później moją uwagę przyciągnęły poprawki, jakich dokonałeś w tekście. Pewne słowa zostały przekreślane, nad nimi napisałeś inne, jakbyś poniewczasie wykrył błąd. Każdy może się pomylić, każdemu mogą przytrafić się błędy ortograficzne; tyle tylko, że w Twoim przypadku przekreślane słowa napisane są poprawne, a poprawki, które naniosłeś zawierają ortograficzne błędy, wynikające z zapożyczeń z gramatyki niemieckiej.

Drobna rzecz a cieszy. Pomimo to, zmuszony jestem wyznać, że rozczarowałeś mnie przyjacielu, bo miałem o Tobie lepsze mniemanie. Po coś to uczynił mój Ty stary, dobry przyjacielu? Żeby pokazać mi, iż po kilku latach nieobecności zapo-

mniałeś, jak się pisze zaimki w Twoim ojczystym języku? I to Ty, któryś dyktanda pisał na piątki; dla którego język polski i jego trudna ortografia nigdy nie stanowiła problemu? Któryś wreszcie pierwsze – jako tako poprawne – zdanie po niemiecku sklecił mając dobrze powyżej dwudziestu lat? Nie wierzę, aby był to przypadek. Błędy są zbyt oczywiste, by nie rzec nachalne. Sądzę, że uczyniłeś to umyślnie, że chciałeś mi coś przez to powiedzieć, czy też przekazać. I wiem nawet, co. Że nie masz już i nie chcesz mieć z nami nic wspólnego? Że jesteś inny, obcy, lepszy? Że jesteś wreszcie, jak się to dziś zgrabnie mówi, sobą? Że wyrosłeś z nas jak z dziecięcego ubrania? Nie jestem nawet pewien, czy ten list będziesz w stanie przeczytać, skoro – tak szybko! – język ojczysty wylatuje Ci z głowy. Zastanawiam się, czy nie powinienem pisać go po niemiecku, ale obawiam się, iż nie znam na tyle dobrze tego języka, aby móc to uczynić. Stąd będziesz musiał się nieco pomęczyć; oczywiście, jeżeli zechcesz go przeczytać. Rozumiem: dobrze się ubierasz, wygodnie, komfortowo żyjesz, masz piękny samochód, na wakacje jeździsz do Hiszpanii. „Ależ nie – odpowiesz (jak bym to słyszał). – Jeżeli bym nawet uważał, że między nami jest przepaść, to nie z powodu samochodu, wakacji, miejsca zamieszkania, czy dochodu, lecz dlatego, że jestem przyzwoitym człowiekiem. Osądzasz drugich według siebie. Wkładasz mi w usta słowa, których nie wypowiedziałem. Nie jestem bez winy, ale nie mam sobie wiele do zarzucenia. Nie ciągnie się za mną ludzka krew i krzywda, w przeciwieństwie do Ciebie. To najważniejsze. Czy ty możesz to samo o sobie powiedzieć? Jeśli czymś się od siebie różnimy, to jedynie tym, że ja mam czyste sumienie.”

To Twój ulubiony motyw, przewijający się przez całą naszą korespondencję, a obecny już wcześniej w ostatnich latach naszej znajomości, jeszcze tu, w kraju. Twoja – nieskalana niczym przyzwoitość i w domyśle mój haniebny postęp i zły, okropny charakter. I płynący stąd ów pełen poczucia wyższości, lekceważąco po-błażliwy, podszywany nieskrywaną wzdargą ton, jakim się do mnie zwracaliście: i Ty, i Janek Niezgoda, i Piotrek Pyć. Ton, który doprowadzał mnie do białej gorączki. Hola! Mój Panie! Nie tak prędko. Przyznałem się, to prawda, ale sprawy nie przedstawiają się zgoła tak, jak się to Wam wydaje. Uważasz, że jestem z gruntu złym człowiekiem? Nie zaprzeczam. Bardzo być może, że tak właśnie jest. Chciałbym jednakże zwrócić uwagę, że: zły, dobry, to tylko słowa. Człowieka nie da się

zawrzeć w jednym słowie chociażby i najobszerniejszym. Martwy mieści się w drewnianej skrzyni bez protestu, ale żywy? Trzeba bardzo uważać z takimi słowami – skrzyniami, nie sądzisz? Nie znaczy to, że się odzegnuję od tego miana, ale czy z tego powodu, że ja jestem zły, wynika, żeś Ty jest dobry i pocziwy? Co do mnie, mam, co do tego poważne wątpliwości, które postaram Ci się szerzej wyłożyć. Pierwszy przykład z brzegu: złośliwość, której Ci nie brak. Przypuszczam, że według Ciebie nie musisz się wobec mnie specjalnie krępować po tym, co zrobiłem. Sądzisz, że mnie to nie boli, nie rani? Owóż, mylisz się mój Ty drogi, kochany przyjacielu. Krew w moich żyłach jest równie czerwona jak w Twoich. Przepraszam, w Twoich płynie krew nordycko – germańska, aryjska, szlachetna, błękitna, zaś w moich podła, plebejska, słowiańska. Jak Ci smakuje? Widzisz, nie jest to miłe i boli, także kogoś takiego jak ja.

To Twoje, nieustanne, powoływanie się na czyste sumienie, to poważny zarzut, szczególnie wobec mnie. Kierując się własną, wrodzoną złośliwością muszę wyznać – nie bez satysfakcji, – że Twoje postępowanie nie jest dla mnie zaskoczeniem. Przez pewien czas łudziłem się, przyznaję. No, myślę sobie, pojechał do Niemiec, trudno, ale można to zrozumieć. Będzie mu tam lepiej, dostatniej, wygodniej, i dzieciom także. Wy tłumaczyłem sobie nawet zmianę obywatelstwa, a tu przychodzi Twój list – jak obuchem w łeb. Łuski opadły mi z oczu. Zrozumiałem. Wreszcie Cię rozgryzłem. Pozwól, żebym wypowiedział głośno to, co myślę na Twój temat. Czekalem na to od dawna. Według mnie jest to, bracie, kurestwo czystej wody. Tak, mój drogi, miły, jedyny przyjacielu. Spójrz prawdzie w oczy, Ty, który z takim naciskiem mówisz o czystym sumieniu. Między Tobą a zużytą prostytutką na rogu – sprzedającą się za kieliszek wódki – nie ma różnicy, a jeśli już by była, to... na Twoją niekorzyść. Kurestwo to nie zawód, to cecha charakteru, która u Ciebie, mój najmilszy przyjacielu, jest powiedziałbym cechą dominującą. Nie mówię tego z punktu widzenia moralności, broń Boże. Przemawia przeze mnie, jak zawsze, czysty egoizm. Jeśli tak czyni, jeśli taki jest i tak postępuje najbliższy i najlepszy przyjaciel, to czegoż można się spodziewać po innych, gorszych przyjaciółach? Strach wręcz o tym pomyśleć i wyjść na ulicę w obawie, że się takiego, mniej serdecznego przyjaciela napotka. Jedyna pociecha, że brak mi innych przyjaciół. I jeszcze żeby, choć odrobinę skruchy, zakłopotania, skrywanego niepoko-

ju. Gdzie tam! Pysk wypucowany, szeroki, tłusty, zadowolony, lśniący wręcz radością życia jak u kocura w marcu, aż zazdrość bierze. Miedziane masz czoło, przyjacielu – tylko pogratulować i pozazdrościć.

Mam nadzieję, że obrazisz się na mnie z powodu tych kilku słów, tym bardziej, że więcej okazji do rozmowy między nami już nie będzie; nasza korespondencja nieuchronnie dobiega końca. A jeśli tak się stanie, jeśli poczujesz się dotknięty, znaczyć to będzie, że mam słuszość. W każdej chwili możesz ten list podrzeć i wyrzucić. Jednakże ja będę pisał dalej. Wszak między przyjaciółmi wszystko uchodzi, byle było szczerze, otwarcie i uczciwie. Po to ma się przyjaciół, by prostowali błędne ścieżki, aby znalazł się ktoś, kto powie całą prawdę. Przyjaźń to drugie z kolei najbardziej przereklamowane słowo w ludzkim słowniku.

Przeczytawszy Twój list zmiałem go, wyrzuciłem do śmieci. Pomyślałem: co mnie to właściwie obchodzi? Jeszcze jedna zerwana znajomość, ostatnia już z tych starych, pamiętających tamto wydarzenie. Poczułem się, jakby odchodził ostatni świadek. Tym lepiej, przecież, dla mnie. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi: nazywając Cię tak, czego do tej pory nie czynilem – przez przekorę, przyznaję i czystą złośliwość – w głębi duszy żywiłem obawę, czy przeczytawszy słowo „przyjaciel” nie wybuchniesz śmiechem, gdyż, jako żywo, określenie to w naszym przypadku jest absolutnie nie na miejscu. Jak ktoś, taki jak ja, mógłby być przyjacielem człowieka o czystym sumieniu? Niepodobieństwo. Już widzę minę Twojej żony, jaką by zrobiła, gdyby usłyszała o podobnie niedorzecznym pomysle. Postanowiłem, że Ci nie odpiszę. Minęło ponad pół roku, a przecież siedzę przy stole i piszę do Ciebie ten list.

Powodów jest wiele. Po pierwsze czas. Akurat są ferie zimowe. Szkoła jest zamknięta. Dzieci mają wolne i ja także – dwa tygodnie, a to strasznie dużo czasu, którego nie mam, czym zapełnić. Pogoda jest paskudna, psa szkoda wypędzić; na przemian pada deszcz i śnieg, przenikliwe zimno, wilgoć i przepaściste błoto. Zresztą, gdzie miałbym pójść? We wiosce, w której mieszkam, jedynymi przyzwoitymi budynkami są: szkoła i kościół. Szkołę znam, pracuję w niej drugi rok, do kościoła nie chodzę. Z tutejszymi nie utrzymuję żadnych bliższych kontaktów; tyle, że dzień dobry powiem albo do widzenia, czasami, jak nie zapomnę. Po wtóre

chałupa, w której mieszkam. I moja gospodyni: stara, głucha i zła, wiejska baba, śmierdząca w dodatku jak zaraza. Nienawidzi mnie z całego serca, mimo iż gdyby nie ja, gdyby nie pieniądze, które jej płacę za ten nędzny pokój, zdechłaby z głodu. Pomagam jej: drzewa narąbię, przyniosę węgla, kury zagonię do komórki. Ale co z tego? Równie dobrze mógłbym leżeć do góry brzuchem. Moja gospodyni utopiłaby mnie w łyżce wody. Podobnie jak inni ludzie, którzy mieli okazję bliżej mnie poznać. Taki widać mój los. Czasami się buntuję. Zarzekając się, iż nic nie będę robił, ostentacyjnie kręcę się po chałupie. Wtedy stara patrzy na mnie. Nic nie mówi tylko patrzy: z wyrzutem, twardo, nieustępliwie, groźnie. Nie poprosi, mimo iż głodna siedzi, bo nie ma komu iść do sklepu. Nie. Nie powie wprost; będzie patrzeć, i patrzeć, i chrząkać znacząco. Sam bym to zrobił, bez ponagłania, tylko żeby, choć jedno słowo, żeby, choć dziękuję powiedziała. Uciekam na pięterko, do siebie. Zamykam się. Mam spokój, lecz nie na długo. Stara zaczyna laską stukać w podłogę, a siedzi w kuchni, pode mną, słyhać doskonale jak stuka miarowo, jednostajnie, uparcie, a mnie aż skręca w środku. Wstyd się przyznać, ale zawsze przegrywam. W końcu poddaję się i idę do sklepu albo kury szukać na wieś, albo drzewa narąbać. Stara traktuje to, co najmocniej mnie złości, jako coś zupełnie oczywistego, jakby jej się to ode mnie należało, jakbym, nie wiedzieć, czemu, musiał to robić – choć zanim jej brat, ani swat – i dalej nienawidzi i pogardza. Ale żeby coś dla mnie zrobić, napalić w moim pokoju, zimno tu jak w psiarni, to nie, za żadne skarby, zaraz się znajdzie tysiąc wymówek.

Kolejny powód to noce. O ile dni wloką się długo i ponuro, jak ciężka, beznadziejna zmora, to noce są jeszcze gorsze. Teraz też jest noc – trzecia nad ranem – a ja nie śpię i nie usnę pewnie do rana. To вина mojego... nastroju. Jestem ostatnio mocno podenerwowany, z trudem nad sobą panuję, snuję się bez celu uważając pilnie, bacząc, żeby za łada przyczyną nie wybuchnąć okropnie. Albo siedzę i nad słuchuję, spodziewając się najgorszego. Nie mogę spać. Nocami chodzę, wypatruję przez okno, i znów maszeruję wzdłuż i w poprzek i dookoła pokoju; potem kładę się na łóżku, zamykam oczy, przewracam z boku na bok; sprężyny skrzypią, trzeszczy łóżko. Gospodyni znów będzie mi jutro czynić wymówki, że przeze mnie przez całą noc oka nie zmrużyła – oczywiste kłamstwo, jej donośne chrapanie towarzyszy mi calutką noc – lecz sen nie przychodzi. Wstaję i znów chodzę, teraz dla

odmiany dookoła i w poprzek pokoju. Przez noc uzbierają się tego kilometry a godziny płyną, jakby je kto smołą wysmarował. Czasami siadam przy stole i próbuję czytać. Nadaremnie. Nie mogę się skupić: ledwie, co przeczytane zdania ulatują mi z głowy, tracę wątek i po chwili utykam jak w piachu. Lepiej już pisać list, nawet... do Ciebie. Nad nim z trudem, ale jakoś potrafię się zmusić do pracy. Lepsze to niż trwanie i wyczekiwanie końca nocy. Niekiedy – gdy uda mi się zasnąć nad ranem, o piątej czy szóstej – budzę się po godzinie zły zimnym potem, przerażony, wypatrując dookoła. Ale nic już nie ma. Jest jedynie błądy, zacierający się z każdą chwilą w pamięci cień – wspomnienie przebitego koszmaru. Tak jest za każdym razem. Koszmary dręczą mnie bezustannie. Nie wszystkie znikają bez śladu, niektóre pozostają w pamięci. I tak ciągnie się noc po nocy.

Jest początek lutego. Noce są jeszcze długie, po czwartej po południu zaczyna się ściemniać, jasno się robi koło wpół do ósmej rano. Trzeba czymś wypełnić ten czas. Nawet gdybym... miał pisać do Ciebie. Poza tym listem nie mam nic innego do roboty. Nie wiem, czy wyślę ten list. Zdaje mi się, że posuwam się za daleko i że mogę tego jeszcze żałować; jednakże świadomość, że zwracam się do konkretnej osoby pozwala mi się lepiej skoncentrować, jaśniej sformułować myśli, uświadomić sobie wiele rzeczy, które normalnie umykają. Czytając opis stanu, w jakim się znajduję – założę się! – pomyślałeś z satysfakcją, że to wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju, że wreszcie mnie dopadły, i że... dobrze mi tak. Nie da się tego całkiem wykluczyć, przyznaję otwarcie. Ja jednakże podejrzewałbym raczej, co innego. Nie brzmi to tak ładnie, jest za to bliższe prawdy. Co jakiś czas przeżywam takie... „napady”. Przychodzi to znienacka i po pewnym czasie odchodzi, zawsze za późno, zawsze za... wcześniej. Ostatni raz było to cztery lata temu. Nauczony gorzkim doświadczeniem wiem, że nie warto z tym walczyć; jedyne, co można – to czekać, aż minie a potem starać się jak najrychlej zapomnieć. Jeśli zaś chodzi o moje sumienie, to zapewniam Cię nie warto się o nie martwić. Milczy ono jak zaklęte, jak sumienie prawdziwie przyzwoitego człowieka, który nie ma sobie nic do zarzucenia, na przykład – jak Twoje sumienie. Nie sądzę, abym w kwestii sumienia miał sobie szczególnie wiele do zarzucenia w porównaniu z Tobą czy innym, przyzwoitym człowiekiem.

**O autorze**

Tomasz Bodziony, urodzony w 1963 roku, pracownik naukowy, specjalność nauki ścisłe: fizyka i matematyka.